

Moje „przygody” w drodze ku wolności ...  
Wspomnienia Józefa Lassoty

Okres lat 1980-81, okres 16 miesięcy Solidarności, wspominam, jako najwspanialszy okres cechujący się ogromnym zbiorowym entuzjazmem i wiarą, że wreszcie jako społeczeństwo będziemy mogli mieć wpływ na nasze życie. Wówczas wcale nie było powszechnego dążenie do obalenia władzy, do zmiany ustroju politycznego, ale raczej było to dążenie do zmiany postępowania istniejącej władzy. Istniało bowiem dosyć powszechne przekonanie, że nie możemy sobie jeszcze pozwolić na wyzwolenie się z dominacji sowieckiej. Wcześniej nie byłem aktywny politycznie, jednak mój charakter nie pozwalał mi być biernym. Zaraz po ukończeniu studiów w 1968 roku (Politechnika Krakowska, Wydział Mechaniczny), rozpocząłem pracę w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu, gdzie wdrażana była licencja silników wysokoprężnych Leyland. Na staż przyjęto wówczas ponad 30 absolwentów z różnych polskich politechnik. Od razu powołałem stowarzyszenie stażystów, by być razem nie tylko ze względów towarzyskich, ale także by bronić naszych praw. Po powrocie do Krakowa w 1970 roku rozpocząłem pracę w Centralnym Ośrodku Chłodnictwa (później, po połączeniu w CeBeA), gdzie pracowało ok. 500 osób. Oprócz pracy zawodowej angażowałem się w działalność PTTK i Związku Zawodowego Metalowców na poziomie zakładowym.

I tak zastał mnie rok 1980, gdy w lipcu zaczęła się pojawiać nadzieja na zmiany polityczne. W Polsce zaczynały się pierwsze protesty w zakładach pracy. Były to jaskółki po mrocznych latach 70.tych, latach beznadziei. Bardzo dobrze pamiętam nasze ówczesne rozmowy, rozmowy ludzi wtedy jeszcze młodych, o braku dla nas perspektywy życiowej, o ograniczeniach kontaktów zewnętrznych, nawet zawodowych. Zagraniczne czasopisma techniczne były rarytasem, a udział w konferencjach był dostępny tylko dla nielicznych.

Gdy tylko wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej w grupie aktywniejszych osób ustaliliśmy, że nie możemy być bierni. Z wypracowanymi przez nas postulatami i poparciem stocznioowego strajku do Gdańska pojechał Krzysztof Pakoński, który był mózgiem naszych poczynań. Działalność dotychczasowej organizacji związkowej została zawieszona i powołaliśmy zakładowy komitet strajkowy, który stał się komitetem założycielskim nowego wolnego związku zawodowego (wówczas jeszcze nie nazywanego „Solidarność”). Nawiązaliśmy kontakty z innymi zakładami pracy, a nasz ośrodek stał się centrum kontaktowym zakładów z tej części Krakowa. Na zorganizowanym przez nas 13 września, dużym spotkaniu przedstawiciele krakowskich zakładów pracy (ponad 200 osób), z udziałem przedstawiciele ówczesnego Kombinat Metalurgicznego im. Lenina w Nowej Hucie, przyjęliśmy ustalenie, że wydelegowani przedstawiciele krakowskich zakładów pracy spotkają się na terenie Kombinat i powołają strukturę międzyzakładową. Tak też się stało i w dniu 15 września, podczas dużego spotkania (przedstawiciele ok. 70 zakładów) na terenie nowohuckiego kombinatu wybrany został Międzyzakładowy Komitet Założycielski Kraków. Wybrano wówczas 17. osobowy zarząd, w którego składzie też się znalazłem. W ramach późniejszego podziału zadań przydzielono mi funkcję sekretarza. Bardzo szybko zaszła potrzeba rozszerzenia działalności na całą Małopolskę; została zmieniona nazwa na MKZ Małopolska „S”, a skład zarządu poszerzono o przedstawiciele zakładów z Małopolski, a nawet szerzej, od Siemianowic do Dębicy i Jasła. Do końca 1981 roku, tylko w samej Małopolsce związek liczył ok. 1 mln członków na 10 mln wszystkich członków w kraju. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” powstawał praktycznie we wszystkich strukturach życia gospodarczego i społecznego w kraju. Przędowały w tym duże zakłady pracy i przedsiębiorstwa produkcyjne. Ale równocześnie organizowały się szpitale i inne placówki służby zdrowia, uczelnie i placówki

naukowe jak Polska Akademia Nauk, a także szkoły, placówki kultury, w tym przede wszystkim teatry, inne instytucje usługowe, publiczne i administracyjne. Bardzo szybko, bo już 22 września 1980 roku powstaje Niezależne Zrzeszenie Studentów. Pojawiło się dziesiątki wydawnictw, zarówno takich zakładowych jak i o zasięgu regionalnym czy ogólnokrajowym. Najpoważniejszym wydawnictwem o zasięgu ogólnokrajowym był Tygodnik Solidarność, którego pierwszy numer ukazał się już w kwietniu 1981 roku.

Tym wszystkim zmianom bardzo sprzyjał Kościół, a największą ostoją i wsparciem był nasz papież Ojciec Święty Jan Paweł II. Dzisiaj można powiedzieć, że z całą pewnością natchnął naród polski siłą, gdy w czasie swojej pierwszej pielgrzymki do kraju w dniu 02 czerwca 1979 roku na placu Zwycięstwa w Warszawie wołał: *Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi!*

Nasza aktywność, najczęściej od rana do nocy, polegała głównie na pracach organizacyjnych i podejmowaniu interwencji. Początkowo otrzymaliśmy lokal na siedzibę w kamienicy przy ul. Karmelickiej 16. Nie było wówczas praktycznie wolnej chwili nawet na wypicie herbaty. Bez przerwy przychodzili przedstawiciele zakładów pracy by uzyskać informację czy poradę jak zorganizować zebranie, jak poradzić sobie z niechętnym, przeszkadzającym kierownictwem w zakładzie czy instytucji. Oczywiście, od razu pojawiło się zapotrzebowanie na naszą obecność na masowo organizowanych zebraniach i wiecach w zakładach pracy w całym regionie. Nie zawsze to było takie łatwe i oczywiste. Tworzyła się przecież nowa rzeczywistość. A my wcale nie byliśmy wcześniej przygotowywani, na bieżąco wzajemnie uczyliśmy się jak powinno być zorganizowane nasze życie. I to jeszcze w warunkach politycznych władzy komunistycznej. Do dzisiaj dobrze pamiętam mój pierwszy w życiu publiczny i w zasadzie polityczny, występ, gdzie moim zadaniem było przekonać zebranych o naszych racjach i skłonić ich do wstępowania do nowego związku. Przedstawiciele grupy inicjującej powstanie wolnego związku zawodowego w Wyższej Szkole Ekonomicznej (dzisiaj: Uniwersytet Ekonomiczny) poprosili o obecność kogoś z MKZ na ogólne zebranie zorganizowane przez ówczesny Związek Nauczycielstwa Polskiego do którego przynależność była praktycznie obowiązkowa. ZNP nie chciał dopuścić do przechodzenia jego członków do tworzącego się nowego niezależnego związku. Kiedy wszedłem do auli, po brzegi wypełnionej ludźmi, trochę ugięły mi się nogi z obawy czy podołam. A kiedy okazało się, że moim oponentem jest doświadczony działacz ZNP dr Antoni Łopata, chyba szef struktur uczelnianych, albo regionalnych, po chwili obaw wstąpił we mnie bojowy duch i w dość burzliwej dyskusji wyszedłem zwycięsko, gdyż większość obecnych zadeklarowała wstąpienie do nowego związku. Później tych spotkań było bardzo dużo i już nigdy nie miałem strachu przed publicznymi wystąpieniami. Trzeba przyznać, że narastająca atmosfera społecznej akceptacji dla nowego ruchu bardzo nam pomagała w zdecydowanym postępowaniu. Jednocześnie staraliśmy się nie konfliktować ludzi. Ale to był ten wspaniały czas, gdy powiew wolności niósł nas na fali entuzjazmu i nadziei. Najwięcej spraw dotyczyło różnego rodzaju interwencji w poszczególnych zakładach pracy. Zarówno jednostkowych, dotyczących poszczególnych pracowników, jak i w sprawach ogólnych, najczęściej organizacyjnych. Staraliśmy się podejmować te interwencje w taki sposób, by znaleźć przekonujące argumenty, a nie próbować narzucać rozwiązań. W zdecydowanej większości, a właściwie to prawie zawsze taka metoda przynosiła efekty. Ale jeśli trzeba było podejmować bardziej zdecydowane działania, to też nie unikaliśmy innej drogi, która z reguły prowadziła do odwoływania opornych dyrektorów.

Ten burzliwy okres naszej działalności pozwalał poznawać bardzo wielu nowych ludzi, ich pomysły i problemy. Swoistą zmurą było przychodzenie osób tzw. nawiedzonych, którzy

mieli gotowe recepty na wszystko. Gdy następowała zmiana pogody, już wiedzieliśmy, że zaraz nas takie osoby odwiedzą. Nasz kolega Andrzej Borzęcki (oddelegowany z Państwowego Wydawnictwa Naukowego) starał się ze wszystkich spotkań i sytuacji robić sobie zapiski. Dla mnie czasem wydawało się to nieistotne. Kiedy o tym mu powiedziałem zdziwił się i odpowiedział: „Wiesz, oprócz tego co robimy, to jeszcze najważniejszym jest pisanie „memuarów”. Pamięć jest ulotna, zanikają szczegóły oddające rzeczywistą atmosferę tych czasów”. Dzisiaj to już wiem, że miał rację. Andrzej zmarł w 2003 roku i nie wiem, czy te jego zapiski zostały jakoś wykorzystane.

Bardzo szybko, bo już po trzech, czterech miesiącach zaczęły lawinowo pojawiać się różnego rodzaju inicjatywy środowiskowe. A to dziennikarze, a to nauczyciele, lekarze i wiele, wiele innych. Tworzyły się też środowiskowe struktury ogólnokrajowe, odbywały się permanentne spotkania, powoływane były zespoły ekspertów dla wypracowania systemowych rozwiązań dla nowego ładu.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o jednym interesującym fakcie z działalności tamtego okresu. W 1981 roku zafunkcjonował system organizacyjny kolportażu i wymiany informacji, tzw. „system ABC”. System ten bardzo się sprawdził, a już był doskonałym instrumentem po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy zablokowane zostały wszelkie środki komunikacji. Autorem tego systemu był Bolesław Śliwiński. System polegał na przypisaniu poszczególnych zakładów do odpowiedniego poziomu. Poziom A to były największe zakłady, które odbierały materiały i informacje z MKZ, czy później z Zarządu Regionu „S”. Każdemu z tych zakładów przypisanych było 10 innych zakładów z poziomu B, które z kolei miały przypisane kolejne zakłady z poziomu C. Materiały i informacje przekazywane były sprawnie, bez konieczności bezpośredniego kontaktu z regionem. W stanie wojennym ten system, nieco zmodyfikowany i ograniczony, bardzo ułatwiał kontakt pomiędzy zakładami, a władzy bardzo utrudniał rozpracowywanie sposobu porozumiewania się i uczestniczących w nich osób.

16 miesięcy „Solidarności” to nie tylko wspaniałe uniesienie spowodowane powiewem wolności, ale także ogromne napięcia, także w samym gronie ludzi tworzących tę nową rzeczywistość. Ścieranie się różnego rodzaju pomysłów było świetną lekcją demokracji, ale w tym zakresie zawsze dochodziliśmy do wspólnego stanowiska. Znacznie trudniej było sobie radzić z ukrytym zagrożeniem, jakim była obecność wśród nas ukrytych współpracowników Służby Bezpieczeństwa, czy wręcz agentów. Mieliśmy świadomość, że tacy zapewne są, ale nie było możliwości ich weryfikacji. Dość powiedzieć, że jak się później okazało, pierwszy przewodniczący MKZ był takim współpracownikiem. Nieuniknione w takiej sytuacji podejrzliwości i pomówienia. Mnie również to dotknęło za sprawą czołowych ówczesnych działaczy: Stanisława Zawady i Mieczysława Gila, którzy rozpętali kampanię posądzającą mnie o taką współpracę. To oczernianie było dosyć skuteczne. Efektem było odwołanie mnie z funkcji sekretarza MKZ, a także nie zakwalifikowanie się jako delegata na I Zjazd NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. Psychicznie bardzo dużo mnie to kosztowało. Byłem bliski psychicznego załamania, będąc absolutnie zaangażowany w sprawy Solidarności, pozostawiając wszystko inne, łącznie ze sprawami rodzinnymi. Podobnie zaangażowana była moja ś.p. Małżonka Żdana – na czym cierpiała 12-letnia wówczas córka, Kaja. Pewnego razu ze zdziwieniem usłyszeliśmy od córki: Ja nie lubię Solidarności. Pytam: Dlaczego? Bo ciągle nie ma was w domu! Niedługo po kampanii pomówień w stosunku do mojej osoby, wprowadzony został stan wojenny i inne sprawy stały się dla mnie ważniejsze. Mogę przewrotnie powiedzieć, że stan wojenny uchronił mnie od psychicznych kłopotów. W pierwszych dniach przypadkowo uniknąłem internowania, gdyż w nocy z 12/13 grudnia nie było mnie w domu. Dzień wcześniej wyjechałem do rodzinnego domu w Siedliskach k/Rzeszowa. Zupełnie nie

byłem świadomy, że tej grudniowej nocy przyszedli po mnie z nakazem internowania. Na szczęście nie było mnie w domu. Będąc na wsi, rano okazało się, że coś dziwnego dzieje się w kraju, w telewizji tylko gen. Jaruzelski, żadne telefony nie działały, nikt we wsi nie wiedział o co chodzi z tym wprowadzonym stanem wojennym. Zaniepokojony wsiadłem w pociąg i wieczorem wróciłem do Krakowa. Maszerując piechotą z dworca głównego do domu na os. Widok zobaczyłem Kraków w nowej scenerii z gęstymi wojskowymi i milicyjnymi patrolami i sprzętem wojskowym na ulicach. Na skrzyżowaniach rozstawione były kosiaki, przy których te patrole się rozgrzewały, gdyż była wtedy ostra zima. Na szczęście nikt mnie nie zaczepił nie legitymował, chociaż niosłem solidny plecak. Żona była bardzo zaskoczona, że jestem jeszcze na wolności, ale gdy dowiedziałem się o nocnej „wizycie” esbeków i zomowców, od razu zebrałem się i wyszedłem z domu. Noc spędziłem u K. Pakońskiego, z którym przygotowaliśmy się do zorganizowania strajku okupacyjnego od rana w poniedziałek. Załoga, na specjalnie zorganizowanym wiecu, zaakceptowała pomysł strajku. Strajk trwał 2 dni, gdyż w nocy z wtorku na środę nastąpił desant wojska i ZOMO. Zakład został otoczony i do środka zakładu weszli uzbrojeni mundurowi z odbezpieczonymi karabinami. Wraz z kilkoma innymi kolegami zostałem zabrany na aresztu milicyjnego w Komendzie Wojewódzkiej Milicji przy ul. Mogilskiej. Najbardziej upokarzające było samo „przyjmowanie” do aresztu. Trzeba było wejść do takiej klatki z metalowych prętów (jak dla dzikich zwierząt), rozebrać się do naga, oddać całe ubranie do kontroli i jeszcze tak się wypiąć, żeby zobaczyli, czy czegoś nie przemycam. Pierwszą noc spędziłem w celi aresztu milicyjnego, a następnej nocy zabrali nas do milicyjnej „suki” i gdzieś wywozili. Oczywiście nikt nas nie informował co nas czeka, dokąd nas wiozą. Suka nie ma okien, tylko takie szczeliny w blasze obudowy tak wykonane, że przez nie można nic zobaczyć. Oczywiście pilnował nas zomowiec z odbezpieczonym karabinem. Dobrze zapamiętałem taką sytuację. Nieżyjącemu już dzisiaj Romanowi Hnatowiczowi udało się jakoś rozpoznać, że opuszczamy Kraków w kierunku wschodnim. I on, jako bardziej doświadczony, mówi do mnie: „Józek, my już nie wrócimy, wywożą nas na Syberię”. W tamtej sytuacji zabrzmiało to bardzo poważnie i wydawało nam się całkiem realne. Na szczęście to się nie spełniło. Wylądowaliśmy w więzieniu w Wiśniczu, jako internowani. Znalazłem się w bardzo dużej celi, gdzie było nas chyba ze czterdziestu. Szybko zorganizowaliśmy sobie czas. Dwa razy dziennie ktoś z nas miał wykład ze swojej dziedziny. A Zbylut Grzywacz z Akademii Sztuk Pięknych jakoś „zorganizował” fiszki z biblioteki więziennej i zrobił z nich karty do brydża. Nie wiem, czy ktoś zachował tę unikalną twórczość. Powstały natomiast charakterystyczne obrazy autorstwa Zbyluta, przedstawiające sceny więzienne z naszej celi. W takim ujęciu mieliśmy swoisty „komfort”, gdyż siedząc w więzieniu już nic nie mogliśmy zrobić. Natomiast dobrze rozumieliśmy tych naszych kolegów, którzy pozostali na wolności. Oni czuli się zobowiązani działać dalej, pomimo totalnego zniewolenia społeczeństwa i pomimo ciągłego zagrożenia. Po tygodniowym tam pobycie zabrali mnie do prokuratury w Krakowie, gdzie po przesłuchaniu zostałem aresztowany za „wspólnie i w porozumieniu” (z Krzysztofem Pakońskim i Janem Godlewskim) zorganizowanie i kierowanie strajkiem okupacyjnym w Ośrodku w celu obalenia ustroju socjalistycznego. Taki zarzut został sformułowany przez komunistycznego prokuratora wojewódzkiego. Ponownie znalazłem się w areszcie milicyjnym na Mogilskiej. Tam spędziłem święta Bożego Narodzenia. Niezwykle wzruszające było półgodzinne widzenie z naszymi żonami w Wigilię. Nasze dzielne kobiety, Żdana, Wanda i Małgorzata, przez 10 dni nie mogły nic się dowiedzieć, gdzie my jesteśmy. Dopiero używając fortelu, powołując się rzekomą dyspozycję komisarza urzędującego w Urzędzie Miasta Krakowa udało im się dowiedzieć o miejscu naszego pobytu i uzyskać zgodę na widzenie. Dla nas było to niezwykle przeżycie, gdyż wreszcie można było się co nieco dowiedzieć o naszych

najbliższych. Zostawiły nam opłatki, świeczki i kilka książek. I to właśnie ta Wigilia została przeze mnie najbardziej zapamiętana z całego życia. Po Świątach przewieziono mnie do Aresztu Śledczego przy ul. Montelupich. Jako aresztowany spędziłem tam 2 miesiące. Cella była 3-osobowa, a prycze przymocowane były do ściany, jedna nad drugą. Moja prycza była najwyżej, więc kiedy więzienny klawisz w nocy zapalał światło, żeby skontrolować przez judasza czy wszyscy są obecni, ostre światło lampy niemożliwie „biło” po oczach. W tej samej celi był, praktycznie nieosłonięty, sedes i umywalka z zimną wodą. Ale do tego też się przyzwyczailiśmy. Atrakcją był codzienny półgodzinny spacer na dachu budynku w przestrzeni zabezpieczonej z boków i z góry mocną siatką metalową. Mogliśmy także czytać książki wypożyczone z dość ubogiej biblioteki więziennej, a także grać w szachy. Ćwiczyłem też układanie kostki Rubika; mój rekord wynosił 17 sekund. Do sądu wojewódzkiego na rozprawy dowożono nas w kajdankach. Tych rozpraw było kilkanaście. Stawaliśmy przed sądem pod takim samym zarzutem razem w trójkę. Razem ze mną sądzeni byli K. Pakoński i J. Godlewski. Prokurator żądał dla mnie w sądzie kary 7 lat więzienia. W 3-osobowym składzie sędziowskim wyraźnie pozytywnie wyróżnił się młody sędzia Włodzimierz Olszewski, członek Krajowej Komisji Koordynacyjnej PWS „S”. Zapewne dzięki jego postawie, a także broniących nas wspomniałych adwokatów; mec. Kazimierza Ostrowskiego, mec. Andrzeja Rozmarynowicza i mojego obrońcę, mec. Mariana Sadowskiego zostałem skazany „tylko” na 1,5 roku w zawieszeniu na 3 lata. 12 lutego 1982 roku z ostatniej rozprawy, z sądu wyszedłem prosto do domu. W czasie rozpraw ogromnym wsparciem psychicznym była dla nas zawsze pełna sala ludzi przychodzących na rozprawy. Była to bodajże pierwsza sprawa sądowa w Krakowie w stanie wojennym. Na rozprawy przychodziła nie tylko rodzina, ale przychodziły także tłumnie osoby „z miasta”, bardzo dużo osób ze środowisk prawniczych, w tym sędziowskich. Dość powiedzieć, że ówczesny prokurator wojewódzki, niejaki p. Rek donosił do Komitetu Wojewódzkiego PZPR na sędziego Kazimierza Barczyka, który nie tylko przychodził na rozprawy, ale także organizował swoje środowisko do obecności na rozprawach. Prokurator zarzucał Kazimierzowi kontynuowanie zakazanej przez władze komunistyczne działalności związkowej.

Od wyroku sądu I instancji rewizję do Sądu Najwyższego złożył prokurator ponawiając żądanie 7 lat więzienia. Także mój obrońca mec. Marian Sadowski złożył rewizję, wnosząc o uniewinnienie. Sąd Najwyższy 20 maja 1982 roku uchylił zaskarżony wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia Sądowi Wojewódzkiemu w Krakowie, pomimo, iż w tym czasie ponownie spędzałem czas w areszcie, jako ponownie internowany. Już wówczas wyczuwało się początki nieco łagodniejszego traktowania działaczy „S”. Sąd Wojewódzki ponownie rozpatrując sprawę uniewinnił mnie od stawianego zarzutu.

Moja wolność po pierwszym wyroku Sądu Wojewódzkiego nie trwała długo, gdyż już w maju, po procesji św. Stanisława, zostałem ponownie internowany i kolejne 2 miesiące spędziłem w areszcie. Bezpośrednim pretekstem do tego drugiego internowania było wymowne uczestnictwo w procesji św. Stanisława. Razem z Tadeuszem Piekarczykiem i Stefanem Afendą podczas całej procesji ulicami Krakowa z Wawelu na Skatkę nieśliśmy symbole Solidarności. Jednym z atrybutów była gruba świeca (gromnica) z nalepką z napisem „Solidarność”, na której nawinięty był drut kolczasty – symbol niewoli. Drugim był czarny duży flakon z kwiatami i wstęgą z napisem „Matce Jasnogórskiej – Solidarność Małopolska”. W następnym dniu T. Piekarz został wezwany na milicyjną komendę i już nie wrócił. W kolejnym dniu spotkało mnie to samo, chociaż usiłowałem uniknąć aresztowania. W szpitalu im. Żeromskiego dr Emil Staszaków założył mi gips na nogę i wystawił zwolnienie lekarskie. Zawiadomiłem, że nie mogę się zgłosić, gdyż nie mogę się poruszać. No to milicjanci

przyjechali po mnie, a z czwartego piętra musieli mnie znosić. Dwie noce spędziłem w areszcie milicyjnym KWMO przy ul. Mogilskiej. W celi były tylko gołe dechy i kibel czyli wiadro z pokrywą. Chyba w ramach represji nie dano mi żadnego wyposażenia, tak, że spałem na tych gołych deskach, podkładając sobie jedyne, jakiego miałem, buta pod głowę.

Te dwa 2-miesięczne okresy spędzone za kratkami (2 miesiące przed wyrokiem, i za chwilę ponownie internowany na kolejne 2 miesiące) były nową lekcją życia i poznawania innej rzeczywistości. Najważniejszym było nie dać się złamać psychicznie. Świadomość, że jesteśmy w więzieniu za absolutnie słuszną sprawę, świadomość, że mamy w społeczeństwie pełne poparcie pozwalało czuć się mocnym. A trzeba było także oprzeć się namowom sb-ków, którzy różnymi sposobami próbowali skłonić do zadeklarowania się i podpisania do współpracy z nimi. Najtrudniejszy był moment, gdy podczas nocnej „rozmowy” z jakimś kapitanem (tak się przedstawił) w komendzie przy ulicy Mogilskiej na 6 piętrze, zaczął mnie zastraszać, że przecież mam córkę, więc lepiej zgodzić się pójść na współpracę z nimi.

Wówczas nie zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, że niektórzy z naszych kolegów udzielających się w „S” taką współpracę podjęli, i to nawet jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. To się okazywało dopiero później. Jako ciekawostkę przytoczę taki przypadek. 7 lipca 1982 roku wychodzę sobie z bramy Aresztu Śledczego przy ul. Montelupich, gdyż właśnie zostałem zwolniony z internowania. I oto zaraz, przy bramie aresztu, spotykam niejakiego Leszka Maleszkę, z którym działałem w „S”. Zrobiło mi się przyjemnie, że znajoma i przyjazna dusza zaraz po wyjściu z aresztu. Przegadaliśmy chyba ze 2 godziny. Dopiero kilkanaście lat później okazało się, że Maleszka to współpracownik Służby Bezpieczeństwa. I wszystko stało się jasne, skąd on się wówczas wziął w pobliżu bramy Aresztu Śledczego.

Wprowadzony 13.12.1981 r. stan wojenny został zawieszony 31.12.1982 r. i ostatecznie uchylony 22.07.1983 roku. Zniesienie stanu wojennego nie oznaczało wcale zniesienia represji. Doświadczyłem wielu z nich, ale jedna być może okazała się dla mnie korzystna. Otóż przed świętem 1 maja 1986 roku, kiedy planowana była kolejna demonstracja podziemnej „S”, zostałem zatrzymany i dwa dni spędziłem w areszcie milicyjnym. A właśnie w tych dniach przechodziła nad Polską szkodliwa fala powietrza w wyniku wybuchu w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Ani okres do zniesienia stanu wojennego, ani w następnych latach nie byliśmy bierni. Przez cały czas toczyła się podskórna walka z systemem, która trwała aż do obrad Okrągłego Stołu. Dużym oparciem w naszej działalności był Kościół. To świątynie były miejscem naszych spotkań, organizowanych wydarzeń patriotycznych i kulturalnych. Artyści i inni szanujący się obywatele bojkotowali reżimową telewizję, prawdziwe życie społeczne przeniosło się poza oficjalne struktury państwa. Bardzo skuteczną była pomoc z zagranicy, zarówno dla poszczególnych działaczy i ich rodzin, jak i dla nielegalnych struktur Solidarności. Sam doświadczyłem tej pomocy, w którą najbardziej zaangażował się Gerard Dupont z Tours, z którym przyjaźnię się do dzisiejszego dnia. Osobiście miałem też zaszczyt nielegalnie prowadzić akcję wakacyjnej wymiany dzieci pomiędzy Małopolską Solidarnością a Chrześcijańską Konfederacją Francuskich Pracowników CFTC (fr. *La Confédération française des travailleurs chrétiens*). Przez 5 lat wysyłałem 30-35 dzieci rocznie naszych działaczy na 4-6 tygodniowy pobyt w rodzinach francuskich. Akcja ta finansowana była przez stronę francuską. Tą sprawą Służba Bezpieczeństwa była najbardziej zainteresowana. Na przesłuchaniu oświadczyli mi, że oni doskonale wiedzą o mojej działalności, tylko usilnie starali się dowiedzieć, skąd mam na to pieniądze. Z tych pobytów dzieci we Francji i przyjazdów rodzin francuskich do Polski narodziło się wiele przyjaźni całych rodzin. A nawet doszło do kilku późniejszych małżeństw. Zmusiło mnie to na nauczanie się podstaw języka francuskiego, która to umiejętność była niezbędna do porozumiewania się z nowymi licznymi francuskimi

przyjaciółmi. Wszystkich ich mogłem odwiedzić przy okazji moich z Małżonką wyjazdów, przez kilka lat, na winobrania do Francji. Ostatni raz pojechaliśmy do Francji na winobranie w 1992 roku, a właściwie był to wyjazd bardziej w celach towarzyskich, gdyż wówczas byłem już wicewojewodą krakowskim.

Moje przygody z administracją zapoczątkował Tadeusz Piekarz, któremu pierwszy premier po „okrągłym stole” Tadeusz Mazowiecki w 1990 roku powierzył funkcję wojewody krakowskiego. Z Tadeuszem Piekarzem działaliśmy w NSZZ „Solidarność” w legalnym okresie, a później także w podziemnych strukturach w czasie stanu wojennego. Jako pierwszy wojewoda krakowski musiał od podstaw zorganizować Urząd Wojewódzki i całą administrację rządową w województwie w nowych warunkach wolnej Polski. Do współpracy potrzebował więc sprawdzonych i zaufanych ludzi. Mnie powierzył funkcję najpierw dyrektora Urzędu, a po roku zostałem wicewojewodą.

Z pobytem we Francji związana jest osobista specyficzna sytuacja. Kiedy 1992 roku nastąpił drugi już kryzys w krakowskim samorządzie, spowodowany rezygnacją Krzysztofa Bachmińskiego z funkcji Prezydenta Miasta Krakowa (drugiego, po prof. Jacku Woźniakowskim), usilnie poszukiwano odpowiedniego kandydata na to stanowisko. Niektórzy radni zaczęli namawiać mnie do wyrażenia zgody na kandydowanie. A trzeba pamiętać, że wówczas to Rada Miasta wybierała prezydenta. Bardzo się obawiałem przyjęcia na siebie tej ogromnej odpowiedzialności za Kraków, stąd przez miesiąc nie byłem w stanie podjąć decyzji, od której najchętniej bym uciekł. Praktycznie po cichu wyjechałem do Francji, gdzie zatrzymałem się u zaprzyjaźnionego z nami działacza CFTC w Strasburgu. Ale i tam mnie „dorwano” i nie mając wyjścia wysłałem faksem moją zgodę na kandydowanie. Poskutkowało to moim 6-cio letnim pełnieniem tej szczytnej funkcji prezydenta Miasta Krakowa i pełnym wieloletnim zaangażowaniem się w samorząd. A był to okres trudny, ale i imponujący. Przecież był to okres tworzenia się prawdziwego samorządu lokalnego. Konieczna była zmiana mentalności lokalnej społeczności w kierunku świadomości odpowiedzialności za podejmowane decyzje, konieczności kształtowania się społeczeństwa obywatelskiego. Trzeba było stworzyć nową administrację samorządową. Wcześniej wojewoda krakowski był równocześnie prezydentem Miasta Krakowa. Infrastruktura techniczna i społeczna miasta była zaniedbana, a czasem zrujnowana. Trzeba było to wszystko opanować, zbudować strukturalne podstawy funkcjonowania, wprowadzić nowe przejrzyste procedury, przeprowadzić pilne modernizacje. A wówczas budżet Miasta nie przekraczał jednego miliarda złotych. Obecnie prezydent dysponuje budżetem w wysokości ośmiu miliardów złotych.

Moje doświadczenia samorządowe mogłem wykorzystać w polskim Parlamencie będąc posłem do Sejmu III kadencji (1997-2001) oraz VII i VIII kadencji (2011-2019).

Na koniec refleksja. Niestety lata przemijają i ludzie przemijają. Dlatego trzeba wyrazić wielką wdzięczność nie tylko tym, którzy wówczas burzyli starą i tworzyli nową rzeczywistość, ale powinniśmy być także wdzięczni tym, którzy starali się i nadal starają się dokumentować tamten czas, wydarzenia i ludzi z nimi związanych.

Kraków, listopad 2023 r.